ROK X. WARSZAWA, 15 KWIETNIA 1921 R. ZESZYT VII.

# PLACÓWKA

KULTURY I SZTUKI

## Goj i Juda.

Jak miałem sposobność wyjaśnić w jednym z poprzednich artykułów, które swoją treścią i układem stanowią jedną całość „Zasłony Izydy“, o wielkiem znaczeniu żyda w historji nowoczesnej stanowi jego panowanie nad Parją. „Proletarjusze wszystkich krajów łączcie się“, oto codzienne hasło, wypisane stale na czele numerów wszystkich gazet socjalistycznych świata. Rozgrywa się tragedja dziejowa pomiędzy Arją i Judą i jego sługą rabem: Parją. Oczywiście Parja jest tylko narzędziem; zapaśnicy to ich panowie: Arja i Juda. Juda obiecuje Parji raj na ziemi, Sezam bogactw świata, byt bez troski i pracy; może obiecać wszystko, gdyż niczego nie ma zamiaru dotrzymać. Ma jeden cel: zniszczyć dostojeństwo, godność, charakter Arji, ubezwładnić go moralnie; reszta nie przedstawia oporu, wtedy umysł żydowski zapanuje łatwo nad bałwanem cielska.

Błyskawica wojny, długa, ogromna, przenikliwa odkryła rzeczywistość. Fakty przeszłe zamierzchły dla mas; któż wie dzisiaj o dziejach palestyńskich, o upadku zżydziałej Grecji i zżydziałego (zsemityzowanego) Rzymu, o stałem wypędzaniu żydów z ustrojów średniowiecznych dzięki zdrowemu instynktowi mas narodowych, nie związanych jeszcze kajdanami absolutyzmu państwowego?

I nawet przypominanie tych faktów nie przekona mas, wymagających koniecznie oczywistości bieżących. Każdy mówi mniej więcej: „może kiedyś tak było, ale dzisiaj czasy się zmieniły“. Przeszło od dwóch stuleci, prawie od trzech sprawa żydowska zginęła z horyzontu myśli ludzkiej. Nie tylko zginęła, ale żydzi, skorzystawszy z dwóch potężnych socjologicz-

nie wynalazków, to jest z maszyny parowej i z prasy drukarskiej, potrafili przerzucić winę na Arjów i wytoczyć proces kryminalny Arji wobec Parji. Ale myśl żydowska jest jak balon captif, który buja ponad chmurami, w powietrzu Absolutu, lecz sznurem związana jest z ziemią i nerwowe, gorączkowe ręce balon ku ziemi szarpią i ściągają. Myśl żydowska najniedorzeczniejszą nawet ideę wyraża natychmiast w Kodeksie prawodawczym i jak to uczynili byli Nehemiasz i Ezechiel przy odbudowie Jeruzalem w księdze Babilońskiego Prawa (Deuteronomu). Otóż Karol Marx i Ferdynand Lassalle, obadwaj żydzi i to bardzo rasowi (Marx wnuk Levi'ego rabina z Trewiru) takie prawodawstwo i taką księgę dla Parjów stworzyli. Pomysły Arji w dziedzinie socjalnej, weźmiemy na przykład ojca Rewolucji Francuskiej Jean Jacques'a Rousseau'a wychodziły z „żywej natury" i prawodawstwo socjalistyczne ma za podstawę „materję", to jest pojęcie całkiem oderwane, bez kształtu i bez barwy, słowem pochodzi z Morza Martwego, asfaltowego. Jest ono najdoskonalszem rozwinięciem Talmudu.

Bolszewizm w Rosji, czyli panowanie Bornsztajna-Trockiego, czyli rzeź dokonywana przez Parję na komendę oficera żyda, jest doskonałem wykonaniem prawodawstwa Marksa. Trudno o coś konsekwentniejszego, a siła umysłów konsekwentnych jest taka, że nawet trup jeszcze jakiś czas może chodzić na nogach nabranym rozpędem.

Jednakże żaden spryt nie zdoła już zasłonić eksperymentu rosyjskiego. To, w co masy narodowe aryjskie nie wierzyły wbrew świadectwu dziejów, lub dla tego, że im te dzieje świadomie i umyślnie fałszowano, w to dzisiaj nie mogą nie uwierzyć dzięki przeżyciom własnym. Jeżeli pokolenie żyjące jest za słabe, zbyt zażydzone, zalękłe, to przyszłość najbliższa wystąpi z bezwzględną krucjatą przeciwko potwornemu absurdowi myśli żydowskiej. Zbliża się ciężkim krokiem postać komandora, słychać jego żelazne tup, tup i położy kamienną łapę na wszechświatowego zbrodniarza.

Ale metodę wyjaśniania sprawy żydowskiej należy zmienić. Może nietyle zmienić, ile obficie uzupełnić i rozwinąć. Dotychczas badacze żydolodzy, oczywiście prowokacyjnie nazywani antysemitami, co u wolnomyślicielątek wywoływało tchórzliwą zgrozę, rozpatrywali głównie nie rasę, lecz religję, nie ustaloną, swą własną twardą ideologją wyłaniające wi-



Marzenie (wiosna). Mal. Wlastimil Hofmann.

dowisko biologiczne, ale Talmud i jego przepisy. Jest to odwrócenie rzeczy do góry nogami. Jeżeli Talmud skrystalizował rasę, to rasa stworzyła Talmud. Otóż z tego punktu żydzi nigdy nie dopuszczali dyskusji. Podstawa biologiczna była ich miejscem tak czułem, że największe wysiłki skupiali ku temu, aby piętnować, opluć, wyszydzić nacjonalizm, to jest godność twórczą. „Przesąd ras“, „szowinizm“, „wstecznictwo“, „reakcja“, było nutą brzmiącą na katedrach uniwersyteckich, a gdy i tego było niedość, w tak zwanych wolnych wszechnicach. Jaka z tego zajęcza kapusta wyrastała w głowach młodzieży, widać z tego, ile rozmnożyło się aryjskich żydolubów, których żydzi, łechcąc ich próżność, używają do swoich celów jak sprzężajne zwierzęta, ale którymi w duszy gardzą. „Towarzyszu! towarzyszu!“ Właściwie traktują ich jak mamki aryjskie, karmiące żydzięta, pasą je obficie, nawet dozwalają na fantazje, dopóki dziecko u piersi.

Otóż studja nad Miszną i nad Torą, wczytywanie się w historyjki Starego Testamentu, który obchodzi masy aryjskie akurat tyle, ile dzieje Azteków lub Inkosów (o ileż milszy „Dekameron“ Boccacia), acz dają fundament pewny dla myśliciela i polityka, nie dają ogółowi tego chleba prawdy żywej, o jaki się instynkt aryjski prosi. Jak katapultami greckiemi lub pociskami kamiennemi niepodobna dzisiaj prowadzić wojny, tak samo samemi wywodami z Talmudu niepodobna dzisiaj bronić się przeciwko namiętnemu, iście semicko-południowemu nacjonalizmowi żydów. Posiadają oni tak wielkie zdolności przystosowania się do wszelkich cywilizacyj, oczywiście powierzchownego, taką zdolność rozwinęli, że dzisiaj trzeba studjować naturę żydowską nie w fanatycznych szeregowcach Ghetta, ale u nowoczesnego wykwintu ich rasy, u postaci takich, jak Henryk Heine i Anatol France, nie mówiąc już o przedstawicielach ordynarniejszych, jak Marx lub Lassalle, albo przywódcy naszych socjalistów jak np. Perl lub Diamand. Oni stanowią nową Judeę, wprawdzie związaną nieśmiertelnym pępkiem ze starą, ale nową, gdyż zbrojną w nieznane patrjarchom Abrahamom i prorokom narzędzia walki o swoje ja.

Jak zawsze i wszędzie tylko poeci, związani silnie z rasą najlepiej zdołają odkryć moce i słabości swoich, tak samo najlepsze znawstwo duszy żydowskiej, znajdujemy u samych pisarzów żydowskich. Obrazy i wyczucia gojów o żydach zu-

pełnie bledną wobec rewelacyj samych żydów o sobie. Tam trzeba szukać najgłębszych prawd psychicznych, dotyczących rasy. U pisarzów, że tak powiem, żydowskiego nowego testamentu.

Bierzemy na przykład dwie książki, wcale lub mało w Polsce znane, książki żydów wysoce inteligentnych, a przytem stojących blisko centrów władzy politycznej nad Europą, książki francuskie Bernarda Lazare'a i Józefa Reinacha. Książka pierwszego nosi tytuł: „Antysemityzm, jego historja i jego przyczyny", książka drugiego: „Sprawa Dreufussa". Obie książki są z sobą w najściślejszem duchowem pokrewieństwie i stoją nierównie wyżej od agitacyjnych pseudo-naukowych rozpraw takiego np. Finot'a (Finkelhauza) o „przesądzie ras", „o konaniu ras", co jest zwyczajną bibułą propagandową, pisaną ad usum umysłów aryjskich, dotkniętych filokserą międzynarodowego homunkulusa. Taki Józef Reinach, uczony i miljoner, jeden z tych „książąt Izraela", o których wielki rabin Awignonu Mossé pisał w r. 1884 w liście do Rotszylda: „czy nie jesteś ty księciem Izraela, sławnym wodzem judaizmu francuskiego, a twoja rodzina czyż nie jest jedną z najczystszych chlub naszej rasy?", taki Reinach nie zniża się do poziomu reptolji, ale objawia otwarcie w jednym z rozdziałów swej wielotomowej księgi taki sąd, płynący z głębi duszy:

„Nienawiść ich (t. j. antysemitów) była szczera przeciwko żydowi, który był zawsze połączeniem sił najgórniejszych i najpoziomszych, albowiem zawiera w sobie wszelkie kontrasty. Jest on jednocześnie i mistykiem i pozytywistą, jedyny naród mający tylko jednego Boga i uważający życie za jedyne dobro. Od Kabały przechodzi wprost do handlu i do lichwy, a oddzielony przez czas długi od wspólnoty z ludźmi, połączył wysokie cnoty idealistyczne samobożka z niskiemi występkami niewolnika Drumont, powtarzając, że Rewolucję zrobiono przedewszystkiem na pożytek żydom, mówił niedorzeczność, ale nie był daleki od prawdy, wyznając żydom, że Rewolucję przygotowali i w dalszym ciągu ją prowadzą. W rzeczy samej, żydzi zawsze byli rewolucjoniści, naprzód ze swoimi prorokami, grożącymi bogaczom-pożeraczom ubogich. Następnie, w czasach prześladowań, byli ukrytymi sprawcami wielkich przemian. Jako doktorzy niewiary, stwarzając awerroizm i panteizm. Ich egzegeci są u kolebki Reformacji, a Kabaliści u kolebki

frankmasonerji. Od roku 1789 ich handlarze złotem, stosując w praktyce saint-simonizm, znaleźli się wśród budowniczych świata nowoczesnego, którego ich socjaliści Marx i Lasalle zakonspirowali zgubę. Przeto od Cicerona do Nitschego, poprzez Gougenault des Moresseaux. wszyscy konserwatyści denuncjowali ich jako sprawców rewolucji".

Czegóż więcej potrzeba? Cóż tu jest niejasne? Tak cenne przyznanie, jakiego nie znajdzie w żadnych starych księgach w wyrazie tak ścisłym i doskonałym. Trzeba podnieść siłę i śmiałość tego nacjonalizmu żydowskiego, który w samem centrum obozu nieprzyjacielskiego mówi z taką pewnością siebie, a z lekceważeniem, jeżeli nie z pogardą wroga. Wyznanie Reinacha jest rzuceniem rękawiczki w twarz gojowi.

A goj chwyta tę rękawiczkę, kładzie ją na rękę i z delikatnością, jakiej nigdy nie stosuje względem swoich, rozpatruje sprawę żydowską. Zaiste, tkwi ponury dramat w tej magicznej hypnozie, paraliżującej aryjczyka w jego najświętszej obronie własnej niepodległości. Okradziony ściga złodzieja, złodziej chroni się do świątyni „praw człowieka", gdzie ma zapewnioną nietykalność. Prawa człowieka? Czyż Lokierta albo aptekarze Katarzyny Medycejskiej mogli byli wywarzyć jad złośliwszy, śmiertelniejszy? Prawo wywalcza pięść, a pięści rozkazuje rozum. To rozumie żyd wybornie, bez zastrzeżeń i dla tego ma przewagę nie ilości, ale jakości. Jakość jest to ilość pomnożona przez x, które jest dowolne.

W Rzymie starożytnym, gdy wpływ semitów Grecji, semitów Egiptu i semitów Azji pokonał rządzącą inteligencję, natychmiast jako skutek zjawił się Spartacus, który już nie spoczął ani na chwilę, dopóki nie powalili go Cezary, a cezarów powaliła nowa, zdrowa pięść świeżych ludów. I dzisiaj ci „sprawcy rewolucji", mówiąc słowami Reinacha, w całej Europie poruszyli zastępy Spartaka, czyniąc z niej wrzący kocioł, w którym czarownice Sabbatu i Kabały gotują swe tajemnicze płyny. Jakież będą dalsze perypetje? Albo demokratyczny Juliusz Cezar, który zastraszył demokrację, albo konserwatywny Korneliusz Sulla, który zdołał przedłużyć istnienie rzeczpospolitej choć o lat kilkadziesiąt.

Rękawiczka żydowska uderza w twarz burżuazję aryjską i ta burżuazja uśmiecha się, robi przyjemną humanistyczną fizjonomję, jak w zakładzie fotograficznym. Chciałaby odwlec

walkę, zasłonić się polityką, wykręcić się, wedle przysłowia, sianem. Napróżno, żydzi to nie osły, aby taką paszę jedli. Oni żywią się mięsem, a trawę i kapustę (według słów Talmudu) pozostawiają dla gojów.

Stan średni (tiers etat), na którym opiera się statystyka nowoczesnych ustrojów politycznych Europy, jest jeszcze daleki od stanu impotencji, czego dowiodły tempo i wysiłki wojny. Jeżeli będzie przyciśnięty do muru, bez dziury do kompromisu, to żydzi mogą się znaleźć w sytuacji fatalnej, gdyż zawcześnie rozpoczęli ofensywę, chociaż wszystko do niej wybornie przygotowali.

Czy stan trzeci posiada jeszcze rzeczywistą ambicję rządzenia? Czy jest czemś ponad łaciną, pierzyną i dziewczyną, jak to bywało w Rzeczpospolitej polskiej?

Przypomina się wypukle i barwnie ów wielki władca semicki Hamilkar z Kartaginy. Gdy Rada Starszych dla ubłagania Baala i odpędzenia oblegających miasto zbuntowanych żołdaków uchwaliła zabić w świątyni czterdziestu młodzieńców, synów najprzedniejszych rodzin, a pomiędzy nimi miał być i syn Hamilkara Hannibal, cóż czyni ojciec? Bierze syna swojego niewolnika, rówieśnika Hannibala, sam go myje, namaszcza, przybiera w szaty synowe i oddaje na żertwę kapłanom. Niewolnik-ojciec, widząc to, głosem nieludzkim wyje z bólu. Hamilkar przynosi mu obficie dobrego jadła i mocnego wina. Niewolnik najada się i upija. Hamilkar, za powrotem do domu, widzi go śpiącego spokojnie na słońcu. Pogardliwie nocą usuwa z drogi cielsko.

Czyżby stan trzeci był już na poziomie owego niewolnika z Kartaginy? Nie myślę.

*IGNACY OKSZA GRABOWSKI.*

# Fata Morgana.

Omdlewającej karawanie nad piaskami pustyni ukazuje się wizja. W błękitnem powietrzu wznoszą się białe marmurowe pałace. Wśród kolumn wysmukłych chwieją się palmy zielone i świeże i różowemi pękami rozkwitają najcudniejsze róże Szyrazu. Kryształowy wodotrysk podnieca tęsknotę spalonych warg. I oto ludzie, którzy się już położyli na skwarnych piaskach, obok bielejących szkieletów dźwigają się i idą, zapatrzeni radośnie w cudną wizję Fata Morgany. I może dojdą do oazy, która ich ocali.

Nam, wędrowcom wśród dróg, świecących kośćmi poległych, idącym wśród upalenia i męki potrzebna wizja, którąby w ciała opadające wlewała cudotwórcze siły. Wśród wilczego świata, wśród szakalich wyszczerzeń potrzebny rozwiewny obraz malowany na dalekich powietrznych przestworach.

Potrzebna wizja, nowego dnia, aby znieść niemożliwy ciężar epoki przejściowej, w której wali się świat dawny, piękny gmach zbudowany na zgniłych moczarach i brutalnie wdziera się z groźnym porykiem nowa formacja dziejowa, o jakże niedojrzała do piękna!

Historja uczuć ludzkich czyli literatura musi nam dać tę wizję. I wobec tego ulega rewizji raz jeszcze nasz stosunek do realizmu.

Jesteśmy pod tak długotrwałą hypnozą tego wyrodnego dziecka sztuki, tego prawego potomka nauk przyrodniczych, które przez pewien czas olśniły umysły i przesiąkły we wszystkie arterje życia duchowego, wypaczając medyczno-higjenicznie nawet etykę warstw inteligentnych, że nawet w porywach, dość nieśmiałych zresztą, neo-romantyzmu twardo trzymaliśmy się jego zdobyczy. „To rozmija się z prawdą życia“ — sąd ten dotąd jest sprawdzianem wartości i wyrokiem potępienia artystycznego. Wydaje się nam ciągle, że sztuka powinna poprostu odfotografować nam życie — może w barwach bardziej zgęszczonych, ujawniając istotę zjawisk, jak chce Taine w każdym razie — oddać nam rzeczywistość.

Taka sztuka — kodak dobra bywa dla istnień bezbarwnych i szarych, albo zbyt zblazowanych i apatycznych, a więc pozbawionych barwnych zdarzeń, nie żyjących pełnią. Ma

ona znaczenie surogatu życia — współżyjąc z przesuwanym przez sztukę filmem dany osobnik przeżywa coś, czego mu jego kierat codzienny nie nasuwa, pokłady energji uczuciowej w nim kinetyzują się i wyładowują.

Ale oddziaływanie na pewne procesy organiczno-psychologiczne jest zbyt nędznem zadaniem dla sztuki. Usprawiedliwienie zaś jej istnienia wobec katedr profesorskich argumentem, że przecież spełnia również do pewnego stopnia zadanie naukowe, gdyż utrwala zjawiska społeczne i daje wiedzę o pewnej epoce (któryś tam socjolog uważał, że beletrystyka daje mu cenny materjał obserwacyjny) jest zaprzeczeniem jej udzielności i samocelowości. Tolerowana kiedyś ancilla teologiae, teraz chciała ujarzmiać zkolei i tolerować sztukę, jako ancilla scientiae.

Przedrzeźnianie rzeczywistości wzbudza podziw, ale z punktu widzenia wewnętrznego jest rzeczą jałową. Mahometanizm, zabraniający portretowania i odtwarzania istot żywych, jako nieprzystojnego małpowania Stwórcy, miał poniekąd słuszność i zawarł tęsknotę kształtotwórczą człowieka w niepodobne do niczego na świecie plątaniny i symetrje ornamentyki maurytańskiej.

Nie jest hasłem najwyższem utylitarny punkt widzenia, zwłaszcza w zastosowaniu do sztuki. A jednak ma ona swój utylitaryzm tylko nie dla powszedniego dnia. Wszelkie zadanie sztuki wynika z pewnego określonego światopoglądu. Światopoglądem nowego pokolenia powinien być ewolucjonizm duchowy Życie wyobrażamy sobie, jako wstępowanie w górę po stromnych zboczach, jako wspinanie się ku coraz wyższym widnokręgom i dokonaniom, jako rozkwitanie zalążków wieczności w człowieku w pęki liljowe, skąpane w niepokalanym błękicie. Wyżynność, spotężnienie, prześwietlenie życia, — podniesienie się na wyższe szczeble rozwojowe — oto cel tonący w smężogach oddali.

Najpożądańszą jest taka sztuka, którąby przyśpieszała proces przeobrażania się duchowego narodu. Pomaga temu poniekąd sztuka realistyczna, odtwarzająca ułomności społeczne i psychiczne i chłoszcząca je biczem satyry lub goryczą filantropa. Ale mało jest wiedzieć, czego należy się wyzbyć. Znacznie trudniejszem jest wykołysać w sobie i wcielić wzór

nowy, który się jeszcze nie uwidzialnił, ale w tęsknotach ludzkich już mgławo i nieokreślenie bytuje.

Jeżeli powieść odtwarza nie życie dane, ale, lekceważąc sobie zarzuty nieprawdopodobieństwa (cóż jednak jest nieprawdopodobniejszem od życia samego, które jest najdzikszą z baśni o człowieku!) rozsnuwa przed nami obraz Fata Morgany, wizję tego, co nigdy jeszcze żywą krwią na ziemi tej nie zadrgało — to uczy w ten sposób poglądowo życia wyższego kształtu. Malarstwo i rzeźba odtwarzając kształty przewidywane, literatura, dając świat uczuć najwyższych i zgoła nowych, muzyka wlewając w nas harmońje i gwiezdne tęsknoty, zamiast współczesnych namiętności i melancholij, będą przyśpieszały pochód narodu ku postaci doskonalszej.

Białość promienia słonecznego jest zbyt jednostajna i wolimy nawet tęczowanie na kałużach i brudną pstrokaciznę padołu, gdyż oczy nasze za słabe, na patrzenie w twarz słońcu, a przesąd rozmaitości i ruchu wyrobił w nas zamiłowania kinematograficzne i papuzie. Tymczasem w odradzającej się Polsce ma sztuka być stawianym wciąż przed oczy pierwowzorem wyższego bytu, gwiazdą betlejemską obłąkanych, wizją Fata Morgany wołającą ku najwyższym wytężeniom strudzonych.

Mówił paradoksista Wilde w „Intentions", że właściwie Tégners stworzył mgły londyńskie przez swoje obrazy. Nauczył je widzieć. Sztuka może w człowieku zrodzić rzeczy nowe. Zmuszając do współczucia ze światem odtwarzanym, powinna w nas ukształtować cały nowy świat uczuć, język „nie mówiony, lecz w duchu błyskany", otworzyć przed nami obrazy życia nie danego, lecz pożądanego.

Sztuka ta będzie stała pod znakiem „Przedświtu" Krasińskiego, najcudniejszego obok Shelley'a poety przyszłości. Będzie nawiązywała do wszystkich epok idealistycznych literatury, nie wyłączając zdawna ośmieszonego sentymentalizmu, w którym nierealnie doskonałe charaktery były największą zasługą. Będzie latarnią morską okrętów na dalekich morzach. Będzie kamienną kaplicą prawa, które w życiu trzeba jeszcze wyrąbać. Będzie stawionym każdodziennie przed oczy wzorem do wypełnienia. Będzie oczarowującą serca wizją Fata Morgany, baśniowego gmachu, zbudowanego dotąd tylko w niebieskich przestworach... *ANNA ZAHORSKA (SAVITRI).*

# Z cyklu: „Misterja“.

## I.

### Cud morza.

*...Spłynęła ciemność — a tęcza stargana*
*Zgasła, dotknięta groźną Losu dłonią, —*
*Zagasły gwiazdy, siane wolą Pana,*
*I zgasło słońce nad przestrzenną tonią...*

*Rycerz z pomroków — gdy zagasło rano —*
*Powstał i wskazał dzierżawną swą dłonią*
*Na świat. Miecz zawisł nad łożnicą słaną,*
*Gdzie Człowiek przyległ uznojoną skronią.*

*Padł cios... Krew strugą wieńczy Istnień skronie,*
*Od źródeł Bólu — w dal — oparów rzeką,*
*Ryjąc koryto przez granitów łoże...*

*A kiedy rzeka wezbrała w krwi morze*
*Z mgieł oceanu jutrznią obłok płonie,*
*Ścieląc deszcz srebrny w przestrzenie daleko...*

## II.

### Płomienna ofiara.

*Wieniec Istnień Tajemnicę Bożą*
*Oplótł wstęgą w wiekuiste trwanie,*
*W nieskończoność rozzłoconą zorzą,*
*W ranę krwawą na nizinnym łanie...*

*Snop promieni błogosławi kwiaty —*
*W cud kielichów ścieląc jasność złotą —*
*Toną w tęczy kwietnych koron płaty,*
*Otoczone słoneczną pieszczotą...*



Golgota polskiego dziecka. Mal. Wlastimil Hofmann.

*Cudnym krzakiem Tajemnica płonie —*
*Ziemia dyszy ciepłą piersią pełną —*
*Dym ofiarny lśni na nieboskłonie,*
*Płynąc zwolna — wzwyż — srebrzystą wełną...*

*Tajnię z wieńcem łączy ogień boży —*
*A z płomieni wykwita, jak gwiazda,*
*Gołębica — na ugory zorzy*
*Niosąc ziarno w swe słoneczne gniazda.*

*WALENTY ZIELIŃSKI.*

# Sowa.

(Z cyklu: „Idąca śmierć").

Mira odłożyła książkę i, przechyliwszy się wstecz na bujającym fotelu, podniosła oczy ku górze. Prastara lipa, w letnie popołudnie dzwoniąca pszczelim rojem, zawisła nad nią baldachem drobnego listowia. Przez ich gęstwę zieloną przedzierały się ostre igiełki słonecznego złota, zlewając się na piasku alei w niezliczone krągłe pieniążki, tańcujące w takt łagodnych ruchów gałęzi. Nozdrza i piersi dziewczyny z lubością wchłaniały lepki, miodowy aromat lipowego kwiecia, wzrok jej plątał się bezradnie w sieci gałązek i liści, szukając wylotu w wolny błękit nieba. Nagle w rozkrzyżowaniu ciemnych rosochów ujrzała dwoje żółtych oczu wpartych w nią nieruchomem spojrzeniem. Olbrzymia sowa, wtuliwszy kocią głowę głęboko w pierzaste ramiona, patrzyła z góry wybałuszonemi gałami topazowych oczu, w których pionową, czarną szczeliną znaczyła się zwężona w świetle dziennem źrenica. Zjawisko było tak niespodziewane, stanowiło taki kontrast z pogodą krajobrazu i nastrojem chwili, że Mira w nagłem przerażeniu zasłoniła oczy dłonią i krzyknęła w głos. A gdy po chwili opanowała się — sowy już nie było.

Mira wstała i zwolna odeszła ku domowi.

Żartując z nieuzasadnionego swego przestrachu, odczuwała niemniej do końca dnia pewien niepokój wewnętrzny, dziwne zamącenie myśli i uczuć. Nerwowa i wrażliwa z natury, łatwo przejmowała się mało znaczącemi wypadkami i choć przeczyła temu kategorycznie — przywiązywała do nich

dużą wagę. Nie była przesądną, ale otwarcie zaliczała się do tych natur wyjątkowych, które na podstawie doznanych wzruszeń mogą niekiedy wyczuć wypadki, mające dopiero zajść. Jakgdyby wypadki te już gdzieś zwolna powstawały, przesycały sobą atmosferę i narzucały się wyczuciu przedrażliwionych nerwów. Żółte ślepia, wpatrzone w nią uporczywie z wierzchołka lipy, utkwiły jej głęboko w pamięci, wzbudzając niedorzecznie złowróżbne myśli. Wesołość towarzystwa, do którego przyłączyła się na werandzie, po pewnym czasie zatarła przykre wrażenie i ku schyłkowi dnia Mira pozornie całkowicie zapomniała o przygodzie. Gdy wszakże późnym wieczorem znalazła się w swoim pokoju, wspomnienie to wypłynęło znowu, tem natrętniejsze, im usilniej starała się je usunąć.

Zamknęła okna i drzwi od balkonu, gdyż po upalnym dniu zanosiło się na burzę i, położywszy się, długo jeszcze czytała w łóżku — ale cierń utkwił głęboko w pamięci i karty przerzuconej książki co chwila zdawała się przesłaniać skulona sylwetka posępnego ptaka.

Całą noc prześladowały ją w snach gorączkowych te fascynujące zielonkawe ślepia.

Nazajutrz i dni następnych Mira nie siadywała już pod ulubioną lipą. Stroniła od tej alei i od tego drzewa, które w głębokich swoich wydrążach gnieździło potworne ptaszysko. Czytywała w ustroniu świeżo odkrytem na przeciwległym krańcu parku, gdzie starych, wysokich drzew nie było, a nad sadzawką pochylały się młode, naiwne, zielone wierzby. Istotnie, sowy tam nie widywała. Dziwnym jednak jej samej wydawał się fakt, że rzecz tak błaha, jak ujrzenie sowy wśród konarów starego drzewa, tak silne wywarła wrażenie i że z całej siły usuwana z pola wspomnień i myśli, powracała jednak uparcie ze złośliwą stanowczością. I, co szczególne, wydawało się Mirze, iż sowę tę o zielonych oczach — tę właśnie, a nie inną sowę, — widywała już dawniej, jakgdyby ją znała. Jakieś porwane strzępy niejasnych, zamglonych przypomnień niekiedy zdawały się wskrzesać w jej pamięci, aby niknąć bezpowrotnie natychmiast, gdy tylko usiłowała zszyć je myślą w jedną całość. Wówczas wszystko pierzchało i we wspomnieniu powstawała próżnia. Chwile te były podobne do tych niezmiernie rzadkich ech, jakgdyby odległych, poprzed-

nich bytów, które niekiedy wyrzuca na brzeg fala wspomnień. Nie można ich nigdy ująć i jasno sobie uświadomić. Mira też bywała wobec nich bezradną. Zasadniczo jednak nie myliła się. Sowa nie była jej zupełnie obcą. Dziwna ich znajomość trwała już od paru tygodni, choć Mira nic o niej nie wiedziała

Pokój Miry był na piętrze. Znajdował się on nad gankiem, między dwoma strychami i z zewnątrz wyglądał jak osobny domek, wciśnięty w pochyłą płaszczyznę dachu Szklane drzwi wiodły na balkon, obrośnięty wąsami chmielu i dzikiego wina. Wino też zuchwałemi pędami rzucało się na czerwoną łuskę dachówki, pnąc się na dach, ku wieżyczce, zakończonej ostrym, żelaznym grotem.

A sowa mieszkała w rosochatej lipie. Późną nocą wyfruwała z dziupli i cichym, bezszelestnym lotem okrążywszy uśpiony dwór, siadała na poręczy balkonu Miry. Noce były duszne, lipcowe... Sypiano przy otwartych oknach. Sowa złowrogiemi oczyma długo wpatrywała się w mroczną głąb sypialni. Pod wpływem tego wzroku sen Miry zwolna przechodził w stan zupełnej drętwoty. Rano zaś budziła się z trudem i niezmiernie wyczerpana. Nie zdawała sobie sprawy z przyczyn swego stanu, czuła tylko, iż spoczynek nocny zamiast przynieść pokrzepienie sił, wywoływał coraz większy ich upadek. Cera straciła dawną świeżość, pod oczyma ukazały się ciemne smugi, a wzrok przyćmił się mgłą delikatną. Wezwany lekarz stwierdził zdenerwowanie i blednicę, doradzał zamążpójście i zażywanie żelaza.

Od kiedy Mira między gałęźmi lipy ujrzała sowę, w umyśle jej przez gęstwę zupełnej niepamięci przeświecać począł mętny promyczek świadomości. Coś jej się niby przypominało, niewyraźnie majaczyło, nie mogła sobie wszakże z tych okruchów zrekonstruować konkretnego wspomnienia. Jedno tylko wiedziała napewno, że się tajemniczego ptaka bała instynktownym, niepokonanym strachem i że lęk ten mieć musi głębsze podstawy, niż pospolita odraza do niesympatycznego stworzenia. Wyczuwała niewytłumaczoną jakąś zależność od tego upierzonego straszydła i miała głęboką pewność, że ptak ten w tragiczny sposób związany jest z jej losem. Lęk Miry wzmógł się zwłaszcza od chwili, gdy pewnego wieczoru, po dłuższym spacerze, wstępując już na schody werandy, nagle uczuła we-

wnętrzny nakaz obejrzenia się poza siebie. Oprzeć się rozkazowi nie mogła i odwróciła głowę: wprost ku niej złodziejsko cichym lotem płynęła sowa i wyminęła ją w ostatniej chwili tak blizko, iż miękkiem skrzydłem niemal musnęła ją po policzku. Mira zamarła z przerażenia. Nie krzyknęła wprawdzie, lecz długo musiała potem tłumić rozszalałe tempo serca i młoty pulsów w skroniach. Uroiła sobie, że nie było to przypadkowe spotkanie, ale że sowa ją naumyślnie szuka i groźę swą stara się narzucić. Innym znów razem, gdy całe towarzystwo siedziało po wieczerzy na werandzie, z dachu, niemal nad samemi głowami zebranych, rozległ się piekielny rechot sowi, poczem uskrzydlony jej cień zarysował się w świetle księżycowem. Mirą wstrząsnął dygot tak silny, że zauważyli go wszyscy. Przyznała wówczas, że ptak ten ją prześladuje i napawa panicznym lękiem. Żartowano z tej przesądnej trwogi, ale gdy śmiech sowy powtórnie rozległ się w parku, jeden z panów chwycił dubeltówkę, obiecując Mirze rzucić pod stopy jej wroga. Ale mimo długich poszukiwań nie mógł nic dojrzeć wśród liści.

I tak, nie co dzień wprawdzie, ale co parę dni sowa przypominała się Mirze, niespodzianem ukazywaniem się budząc w niej strach coraz większy. Nocami zaś coraz dłużej przesiadywała na poręczy balkonu, lub parapecie otwartego okna, jakgdyby dopełniając systematycznie zamierzonego piekielnego planu. Ale o tem Mira nie wiedziała... Czuła się tylko coraz bardziej wyczerpaną, a lęk jej stawał się obłędnem przerażeniem. Bała się swej prześladowczyni każdym nerwem, a jednak — dziwne! — tęskniła do niej. Przerażenie miało w sobie kroplę okrutnej, ale niewysłowionej rozkoszy, od tego widmowego cienia, przemykającego się niekiedy cichym lotem, nie mogły się oderwać zahipnotyzowane oczy dziewczyny. Coś wołało, ciągnęło ku tej lipie prastarej, a jednocześnie strach dreszczem mroził krzyże i na gardle zaciskał żelazne palce.

Mira nie była wolną od halucynacji. W ciszy bezwzględnej wydawało jej się nagle, że słyszy wstrząsający głos sowy, jej oczy zdawały się wyzierać zewsząd, a niekiedy wzdrygiwała się z obrzydzeniem, czując na twarzy lekkie muśnięcie skrzydła.

W ostatnich czasach często też przychodził jej na myśl Janusz, a wspomnienie to budziło w niej zawsze wyrzuty su-

mienia, Tylko przez nią, wskutek jej pustoty i niezdecydowania, zalotności i kaprysu — bałamucony, zwodzony obietnicami, a w rezultacie zawsze odprawiany z niczem, Janusz wstąpił do wojska, poszedł na front i gdzieś w błotach pińskich, czy poleskich siedzi w okopach, i od szeregu miesięcy wieści o nim niema. Czy żyje? A jeśli zginął — to przez kogo? Myśl o śmierci Janusza i swej odpowiedzialności za nią była ciężkiem brzemieniem dla Miry i w dziwny sposób kojarzyła się w jej wyobraźni z tajemniczą napastliwością sowy. W rozgorączkowanym mózgu dziewczyny kształtował się powoli straszliwy w swej logice łańcuch przyczyn i skutków i o zależności tych zjawisk od siebie powstawało przypuszczenie tak fantastyczne, a potworne zarazem, że Mira nie miała nigdy odwagi sformułować je wyraźnie, ale bez ustanku żywiła je w podświadomości swej, aż stało się trawiącą życie rozpaczną wiarą. I umacniało się coraz bardziej niezachwiane przekonanie, że spełnić się musi to coś nienazwane, czego zwiastunem jest ów upierzony demon o zielonkawych fosforyzujących oczach.

Pewnej nocy widnokrąg, pogodny z wieczora, zasnuwać się począł paździerzami rzadkich chmur, które wiatr przeganiał po niebie, a księżyc w biegu prześwietlał. Po liściach ogrodu szedł niespokojny poszept nadciągającej burzy. Było parno i pachło już przyszłym deszczem. Sowa z lipy cicho przeleciała na balkon. Oczy jej spoczęły na śpiącej i znieruchomiałej. Sen Miry, dotąd spokojny i krzepiący, stał się gorączkowy. Tempo miarowego oddechu przyśpieszyło się. Pod wpływem tego wzroku Mira odwróciła się całkowicie twarzą ku oknu. Przez rzadką, targaną wełnę chmur przetaczał się księżyc. Ciało dziewczyny zaczęło drętwieć i prostować się, ręce posłusznie wyciągały się wzdłuż bioder. Pionowa bruzda na czole i lekki, bolesny grymas ust zdawał się świadczyć, że uśpiona przechodzi pod tajemniczą władzę nie bez cierpień i podświadomej walki wewnętrznej. Snadź jednak przemożna musiała być ta siła, gdyż w pewnym momencie Mira z ciężkiem westchnieniem dźwignęła się z posłania i wolno iść zaczęła ku balkonowi. A kiedy dosięgła niemal poręczy, sowa przeleciała na grzbiet dachu i stamtąd wołała na nią nakazem swych niesamowitych oczu. Za niemym głosem tych przeklętych oczu Mira przekroczyła balustradę i z opuszczonemi

wzdłuż ciała rękoma pnąć się zaczęła ku przełęczy dachu. A gdy i jej dosięgła — sowa usadowiła się na ostrym grocie wieżyczki. Wówczas Mira wyprostowała się na grzbiecie dachu i lunatycznym, wolnym, ale pewnym krokiem iść zaczęła przed siebie. Wiatr zrywał się coraz mocniejszy, targał jej długą, białą koszulę, włosy rozwiewał, a ona szła bezwolna i posłuszna, w niepojęty sposób zachowując równowagę. Oczy miała zamknięte, a jednak szła na rozkaz tych świecących jak karbunkuły ślepiów. W przerzedzie chmur wyłuskał się niespodzianie nadkrajany księżyc i oświetlił ją pełnym blaskiem.

Nagle zaciekłym ujadem zaniosły się psy podwórzowe. A później podniósłszy łby do księżyca — zawyły.

Mira zatrzymała się na przełęczy dachu. Ręce jej oderwały się od bioder i wyciągnęły przed siebie, powieki zwolna uniosły. A kiedy jej oczy spotkały się z zielonemi oczyma ptaka, olśnił ją nagły błysk straszliwej świadomości, rozpacznie strzepnęła rękoma i z przeraźliwym krzykiem runęła z wysokości.

A sowa zerwała się z iglicy piorunochronu i wsiąkła w mrok ogrodu.

*HENRYK ŻOBÓR.*

# Związki Strzeleckie.

## I.

Ustawa wojskowa Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na najkosztowniejszym z trzech istniejących i stosowanych obecnie systemów: na armji stałej. Jestto zrozumiałem: ani wojsko kadrowe, jakie ma np. Szwecja, ani tem mniej milicja narodowa, którą słusznie szczyci się Szwajcarja, nie odpowiadają naszym warunkom geograficznym, komunikacyjnym, politycznym i kulturalnym. Dość uprzytomnić sobie naszą granicę zachodnią, 700 kilometrową, i dłuższą jeszcze wschodnią, 1000 kilometrową, obie prawie całkiem polityczne i częściowo tylko etnograficzne, poprzerywaną sieć kolejową na zachodzie i bardzo rzadką na wschodzie, brak wyszkolonego korpusu oficerskiego i niski stan oświatowy ludności, a więc i w wojsku, wreszcie nasze położenie między dwoma odwiecznymi wrogami niepodległej Polski!

Obecnie prowadzi wojnę cały naród. W danym wypadku dotyczy to zarówno Polski, Szwecji, Szwajcarji. Na jednego żołnierza na froncie pełni służbę wojskową trzech do czterech ludzi w kraju; czynni muszą być wszyscy: w okopach, w odwodach, w fabrykach, warsztatach, kopalniach, w komunikacji, w wytwarzaniu i dostarczaniu żywności, środków technicznych i materjału bojowego. Chodzi tylko o to, aby przygotowania do wojny, której, niestety, nie zmazały ani traktaty, ani liga narodów, najmniej kosztowały twórczości, pracy i produktów — przeznaczonych do niszczenia ludzi i ich dorobku, a więc z góry przeznaczonych na zagładę wszelkiej twórczości. Jeżeli już wojna jest nieunikniona, a w takim razie przez lata całe należy się do niej sposobić, trzeba jaknajmniej ludzi w okresie najlepszej ich produkcyjności skazywać na przeciwne postępowi i rozwojowi kraju czynności.

Z drugiej strony ogromne rozszerzenie i zróżniczkowanie techniki wojennej, olbrzymia ilość środków walki i konieczność wyszkolenia ludzi w ich władaniu wymagają od przyszłego obrońcy kraju wielkiej sprawności i wiedzy wojskowej.

Wysoki poziom kulturalny i zamiłowanie do wszelkiego rodzaju ćwiczeń cielesnych Szwedów, pozwolił na skrócenie szkolenia rekruta do 10 miesięcy i tworzenie stosunkowo szczupłych kadr, zawodowo doskonale wyćwiczonych. Przyjrzyjmy się chociażby drodze, jaką przejść musi młody człowiek. zanim osiągnie stopień podporucznika: po ukończeniu szkoły średniej odbyć musi czteromiesięczną szkołę rekruta, 11 miesięczną szkołę aspirantów oficerskich (nieco wyższą niż nasza szkoła podchorążych), pełni służbę młodszego dowódcy podczas ćwiczeń pułku, przechodzi czternastomiesięczną szkołę oficerską, składa egzamin na chorążego, jest nim dwa lata w pułku i dopiero wtedy zostaje podporucznikiem. Aby zostać oficerem rezerwy, ma się jedynie skrócony czas w szkole oficerskiej do czterech miesięcy. W jeździe, artylerji i broniach specjalnych dochodzi do tego jeszcze wyszkolenie osobne. Mając tak doskonale wyćwiczonego żołnierza kadrowego, a to samo prawie dotyczy podoficera zawodowego, można pozwolić sobie przy ogólnem pogotowiu rezerw na trzymanie stosunkowo niewielkiej ilości ludzi pod bronią.

Jeszcze mniej ludzi, czasu i pracy absorbuje służba wojskowa w Szwajcarji, broniona idealnie granicami naturalnemi, żyjąca tradycją Wilhelma Tella i pogotowia całego narodu. Zależnie od rodzajów broni wyszkolenie rekruta trwa tylko dwa do trzech miesięcy. Natomiast służba powszechna, od której zwolniony być może tylko członek rady związkowej, trwa od 19 do 48 roku życia i mimo bardzo krótko trwających przeglądów dorocznych zapewnia krajowi dostateczną obronę. Obok departamentu wojskowego przy radzie związkowej istnieją tylko szczupłe dowództwa i sztaby. Niema

wojska stałego, a mimo to istnieje pogotowie całego narodu, władającego bronią. Wszyscy w czasie pokoju oddają się pracy twórczej i myślą o podniesieniu ekonomicznem kraju i własnym dobrobycie. Ideał pożytecznego obywatela, oddającego — z krótką przerwą — najlepsze swe siły i lata ojczyźnie, a przytem w razie potrzeby gotowego do obrony swej wolności i swych gór, jest tutaj prawie osiągnięty. Trzeba przyznać, że złożyły się na to wyjątkowo przyjazne Szwajcarji warunki geograficzne, polityczne i kulturalne.

Jest jednakże jeszcze jeden fakt, który ma znaczenie zasadnicze, rozstrzygające. W tradycji i krwi zarówno Szwedów jak Szwajcarów leży nie tylko gorące umiłowanie wolności lecz zarówno i praktyczne jego zastosowanie.

Podczas gdy w Polsce bardzo jednostronne pogotowie wojenne i to często zawodzące tworzyła tylko szlachta, ogół narodu pozostawał na boku obojętny, usuwany i chętnie się usuwający. Rycerstwo polskie wygrywało świetnie bitwy, ale nie mogło i nie umiało prowadzić wojny. Obok czynów bohaterskich, obok zdumiewających przykładów odwagi i szalonej brawury kroczy stale powtarzający się objaw: odnosiliśmy zwycięstwa i przegrywaliśmy wojny. Przyczyna prosta: nie wiedzieliśmy i nie mieliśmy tego, co się zwie: naród pod bronią!

Szwecja może pozwolić sobie na wojsko kadrowe, a Szwajcarja na milicję narodową, bo tam każdy obywatel od wczesnej młodości aż do późnej starości umie władać bronią, ma zamiłowanie do musztry wojskowej, lubi strzelać i ciągle się w strzelaniu ćwiczy. Student, robotnik, mieszczanin i inteligent pracuje w swoim zawodzie przez sześć dni powszednich; gdy przyjdzie niedziela, gimnastykuje, oddaje się sportom, zabawom wojskowym, szermierce, a przedewszystkiem strzela do tarczy, celów stałych i ruchomych. Tym sposobem nabywa pewności siebie, spokojnego poczucia swej wartości obywatelskiej i narodowej. Tem samem jest gotów stawić się na każde zawołanie i co więcej, przychodzi wyszkolony, świadomy swych zdolności bojowych, przygotowany duchowo i cieleśnie.

W Szwecji — przytaczanej tutaj zawsze jako przykład — i Szwajcarji, istnieją związki strzeleckie w najmniejszej miejscowości, o jednolitym programie, kierowane przez oficerów i podoficerów zawodowych lub rezerwowych. Do związków tych należy młodzież w wieku przedpoborowym i wszyscy ci, którzy odbyli służbę wojskową, a należą do rezerw i pospolitego ruszenia. Nikt oczywiście nie broni wszystkim innym obywatelom wstępować do związków tych i brać udział w ich zabawach rycerskich. Należenie do tych organizacyj jest obowiązkiem, ale jestto nakaz wewnętrzny, każdemu zrozumiały i drogi.



Polski Faun. Mal. Wlastimil Hofmann.

Konieczność pogotowia wojennego łączy się tym sposobem z pożyteczną i przyjemną rozrywką; zamiłowanie do sportu, musztry i strzelania udziela się wszystkim, rozwesela i odświeża umysły, a myśl o zabijaniu bliźnich, chociażby w obronie własnej ziemi, schodzi na plan dalszy i jest raczej czynnikiem podświadomym.

O ile łatwiejsze i szybsze są wtedy zadania prawdziwej, ciągłej choć krótkiej, służby wojskowej, przeglądów i ćwiczeń rezerw. Szwajcar zabiera swój karabin wojskowy z domu, dąży do swego okręgu terytorjalnego, kładzie na siebie mundur i otrzymawszy naboje bez żadnego wysiłku odbywa przepisaną służbę. Tak samo dostaje młodzież szwedzka do swych ćwiczeń sportowych broń rządową, przez co oszczędza dowódcom swym w wojsku czasu i wysiłku na zapoznanie się z nią i celowe użycie.

Jak widzimy, związki strzeleckie w Szwecji i Szwajcarji przejęły na siebie obowiązek przygotowania rekruta do służby wojskowej i utrzymania go w ciągłości władania bronią, aż do późnego wieku. Umożliwia to krajom tym zabezpieczenie swej wolności i swych granic przez wojsko kadrowe, wzgl. milicję narodową.

Wiemy również, że wskrzeszona do życia niepodległego Polska z powodu niekorzystnych, od siebie niezależnych warunków, swe pogotowie obronne sposobić i utrzymywać może tylko za pomocą systemu wojska stałego. Nie wyklucza to jednakże, aby ogółowi swych obywateli nie nadała charakteru narodu pod bronią Osiągnąć to może przez pokrycie całego kraju związkami strzeleckiemi, bezpartyjnemi uświadomionemi narodowo, ćwiczącemi się w wolnych chwilach w władaniu bronią i mustrze wojskowej. Nie jestto bynajmniej myślą nową, u nas nieznaną. Należy tylko sięgnąć do historji, wydobyć z skarbca pamiątek cenną ideę samoobrony miasta i przystosować ją do życia i wymagań współczesnej chwili. Trzeba przypomnieć sobie bractwa i towarzystwa strzeleckie w Polsce, ich znaczenie i zadania, najlepiej wyrażone przez króla Zygmunta Augusta w liście z dnia 6 czerwca 1565 r. „aby mieszczanie krakowscy nie zaniedbywali ćwiczenia się w strzelaniu i sztuce puszkarskiej, lecz aby się w tem tak wprawiali, iżby, w czasie potrzeby, ojczyźnie zaszczyt i pożytek przynieść mogli".

Co wówczas odnosiło się do mieszczan, dziś stosuje się do narodu całego.

*TADEUSZ JAWORSKI.*

(L. c. n.).

# Camera lucida.

## Prawodawcy z Tarnowa.

Jeżeli małpa spojrzy w lustro, z pewnością nie zobaczy Apollina. Jeżeli osieł bryknie, nawet wół się roześmieje. Żadne zwierzę nie może być przedmiotem karykatury, taki przywilej posiada jedynie człowiek.

Reforma rolna, doskonale! Któż nie chce, aby cała ziemia Polska była w zagrodach i gospodarstwach wesołych, żyznych, ludnych i ochędożnych? Wielka i piękna polityka państwa. Cóż z tej upragnionej idei zrobili prawodawcy z pod Tarnowa, oni to bowiem przybrali nazwę Piastów i gospodarzyli w Sejmie? A były czułe umysły z łezką w duszyczce, które w Kmiotku Witosie widziały coś w rodzaju małego Kazimierza Wielkiego. Niechaj żelazna ręka chłopska po gospodarsku ukróci samowolę próżniaków i przybłędów.

Otóż ta ręka wszystko chciała chwycić ku sobie, nie wiedząc wcale co z tem robić. Wywłaszczenie obszarników — dajmy na to. Ale niechaj będzie tak, jak w „Kupcu Weneckim" Szekspira: „Szajloku, możesz wykrajać kawał żywego mięsa z pod serca dłużnika, ale nie wolno ci przelać ani jednej kropli krwi". Wywłaszczaj, ale w taki sposób, aby pola uprawne nie leżały w odłogach, aby w chwili, gdy chleb jest największą, najcenniejszą wartością' nie zmarniała ani jedna skiba naszej matki ziemi. Bo jeżeli marnujesz płodność ziemi, to jak gdybyś zabijał niemowlęta u piersi matek, jak gdybyś te piersi wysuszał, niefortunny prawodawco!

Przez te dwa lata przy niejakiej pomocy ze strony rządu, a nawet i bez tej pomocy chłopi, którzy w pończochach i po dziurach zeskarbili moc papierków o wartości wątpliwej, byliby z wolnego wyboru nakupili siła ziemi. Wiele pól, dziś zarosłych chwastami, zieleniłoby się oczekując żniwa a po kraju nie chodziłyby bandy pozbawionych chleba bezrolnych. Towarzysz Kwapiński nawołuje do strajku uprzywilejowanych, mających miejsce parobków, tych szesnastokorcowych, którzy trzecią część ordynarji sprzedają żydom na pasek, a inni oczekują napróżno służby, bo ilość warsztatów rolnych zmalała, a jakość się pogorszyła. Ziarnu przeszkadzaliście rosnąć, boście nie myśleli nawet o przywozie saletry i nawozów sztucznych, aleście rozmnażali urzędników. I niejedna ciemna, zafukana, ogłupiona głowa szepcze: „a toż za Moskala było lepiej".

Matka choruje, a psotne dzieci wzięły się po swojemu do uporządkowania izby. Łamią stołki, biją szkło, wprowadziły do świetlicy świnie i gnój.

A jaki tupet! jaka pewność siebie! Za jedno słowo — pyskiem pięć. Wymyślają na „ślachtę", że „zgubiła" Polskę, filozofy i prawodawcy z pod Tarnowa. A pamiętasz ty, junaku patrjotyczny, rok 1846 i co to było pod Gdowem. Żołdacy Benedecka oddawali w ręce „piastom" powstańców szlacheckich, którzy chcieli lud obdarować wolnością i ziemią. Za głowę powstańca starosta Breindl z Tarnowa wypłacał cwancygiery. Jeżeli ciągniesz za język historję, to ją, bratku, znaj całą jaką była, a nie taką, jaką podawała ci austrjacko-żydowska szula.

Niestety, nikt wam prawdy nie powiedział, gdyście rozpierali się w Sejmie, jak w karczmie. Bo Sejm, mimo, że często grała tam muzyka, był niemy. Niemy, milczał rozum i milczało serce.



Dziewczynka z lalkami.

Własność Walentego Zielińskiego. Rys. W. Wojtkiewicz.

Przy robocie, przy pługu, u warsztatu bez kołnierzyka może być Wojtek i nawet bez por..., to nawet wygodne, jeżeli ciepło, ale tam gdzie głowa ma myśleć o 25 miljonach ludzi, za mało owczarza, potrzebni doktorzy.

*Igr.*

## Barometr Społeczny.

Niepodobna obalić twierdzenia Lockego: nic nie jest zrozumiałe, co nie było wprzódy odczute. Tak jak barometr nie tworzy pogody, ale ją czulej lub nieczulej wskazuje, również i literatura nie wychodzi nigdy po za stwierdzenia faktów już istniejących, jako przyczyn skutków niechybnych. Literatura przepowiada i tworzy, ale tylko w tem znaczeniu, jak barometr tworzy deszczsz, burzę, wiatr.

Z rzeczonego poglądu wypływa wniosek pierwszy. Najpotężniejszy genjusz poetycki nie wybiega po za swój czas i swoje środowisko, z jakiego zrodzon. Rzeczy płyną i jego wizje sprawdzają się dopiero po niejakim czasie. Ale wtedy, gdy szaleje przepowiedziana burza, już się tworzy nowy układ atmosferyczny. Już trzeba nowych twórców, czyli medjów, to jest żywych barometrów.

Więc oczywisty jest wniosek drugi, bo siedzi w tamtym, jak kurczę w jaju. Młodzi mają słuszność, twierdząc, że zadaniem ich wyrazić słodycz, lub gorycz nowych soków, krążących w środowisku. Walka ich z nieboszczykami jest naturalna, lecz sami powinni nazywać siebie presentystami t. j. „obecnymi" nie futurystami. Ich futuryści w swoim czasie narodzą się. Pokolenie wielkich romantyków, wyrosłe bujnie i chorobliwie wysoko na bujnym gruncie zglisz i popiołów, leży dziś w wspaniałych sarkofagach. W rzeczywitości było ono echem legjonów.

Pokolenie ich następców i dekadentów, z Chochołem rozpaczy na czele, dogorywa; było ono również doskonałym barometrem epoki. W obecnej chwili odbywa się jego uroczyste pogrzebanie, z chórami „de profundis".

Pokolenie nowe jest zagadkowe. Prawdopodobnie przejdzie głównie do codziennych spraw bytu niezależnego, do pragmantyzmu, a jakąż melodję zaśpiewa literatura?

Nie wiem. Tymczasem widać niezbędne programy, nie widać dzieł To co już w życiu umarło, włóczy się jeszcze w poezji jako żywe, a co żywe nie ma pieśniarzów. Ale któż zabije wiosnę?

*Igr.*

## Marginesy filozoficzne.

### VI. Majaki czystej myśli.

Był czas, gdy niestrudzony człowiek jął między sploty boskich zachceń i wpływów wciskać, jako owoc swego doświadczenia, pasma związków przyczynowych. Naówczas też wiele słów jego, podobnych błędnym ognikom stawać się poczęło mocnemi pieczęciami rzeczy i ich własności. W miarę wzrostu poznania, słowa takie jęły zastępować niejako same przedmioty i własności, tworząc obok pstrego świata zmysłów nową, własną dziedzinę — myślowy wtór rzeczywistości. Urok prostoty, spójni i mocy tworów myśli był

zrazu tak wielki, że już starożytni pomiędzy dobra, jak cnota i zdrowie, kładli „jasne rzeczy rozumienie“. Rozkosz to była zaiste niezrównana, gdy z garści słów-pojęć, drogą kunsztownych sylogizmów w samotnej głowie myślicieli, wyrastały gmachy całe, Wszechświat, Byt, Absolut, Rozum najwyższy, Idea najszczytniejsza. I to, co zda się, było najbardziej ulotne i nikłe, — myśl, imię, słowo — to właśnie uznał człowiek za rzecz najtrwalszą, urągającą władzy Czasu i Materji! Tak powstała metafizyka, dumna córa myśli ludzkiej, że posiadła boską moc tworzenia świata z niczego. Tak powstały wielkie systemy filozoficzne od Platona do Hegla i utrwalił się kult czystej myśli, roszczącej prawo do ujmowania rdzenia prawdy poprzez ulotności pozorów. Abstrakcja zajęła pierwsze miejsce. Atoli — od kilku stuleci powstał wróg potężny czystej myśli. Były to kierunki rzemiosł, prób, cierpliwych poszukiwań, mierzeń. Z pracowni alchemików, z warsztatów i szpitali, płynęły gromady pojęć surowych, ważkich, ciężkich, soczystych. Jakże blado i przezroczyście wyglądała przy nich cała scholastyka! Niby zrzucona skóra węża obok żywego gadu. Królestwo Empirji rozszerzało się. Lecz czysta myśl nie dała za wygraną. Odwołując się do głębin zamyślenia i kontemplacji, do chwil, kiedy dusza wyraźnie cały świat przerasta, kusiła metafizyka urokami bezwzględności, zawrotnych szczytów polotu w zaświaty, wiecznotrwania i boskości — i zdeptać się nie dała.

Dziś, w dobie odbudowy i poszukiwania nowych dróg, bądźmy ostrożni. Szlachetni twórcy i przetwórcy wszystkich destylowanych myśli niech pracują i tworzą, lecz niech pamiętają, że świata myślą ogarnąć ni ująć nie można. Pracownicy zaś z laboratorjów oby zawsze pomni byli na to, że ich formuła i opis i cyfra nie wytłumaczą tajni myśli ludzkiej ni jej ogromów. Dziś bowiem chodzi nie o tworzenie scholastycznych pęcherzy i mgławic, ani też o inwentarz miar i narzędzi mierniczych, lecz nadewszystko — o zanurzenie się w potoku zmian, o bergsonowską intuicję przeżywania, nie zaś przemyśliwanie, o zgłębienie uczuciem i pragnieniem wielkich tajni, które nam obiecują klejnoty słoneczne.

Kategorje czystej myśli muszą ustąpić dziś przed kategorjami Życia!

*L. Konopacki.*

# Ze sztuki.

## W pracowni Wlastimila Hofmana.

Nad Wisłą, miasto sztuki, Kraków, stało się i jest środowiskiem, a karta wieków wypełniła się sporą plejadą nazwisk. Z tej strony zna zagranica „polskie Ateny“ lepiej, aniżeli inne nasze miasta...

I nic dziwnego, że nieraz obce nazwisko splotło się z Krakowem, że Stwosz, czy ostatecznie Delaveaux jakiś miał się za Krakowianina, jakby „z krwi i kości“ był Polakiem, to tylko dowody, że urok naszej kultury nie przeszkadza obcej narodowości do zżycia się z nią, ba, przeszczepienia na obcym pniu polskiego drzewka... Do takich należy *Wlastimil Hofman*, z czeskiej, osiadłej w Krakowie rodziny, ale Polak i typ szczerze polski w sztuce

ze swem ukochaniem dziecka, polskiej melancholji krajobrazu, a poprzez swoją subtelność, symbolów naszych wierzeń, mitów...

Tkwi on niepodzielnie w „słowiańskiej", śpiewnej naturze, która i plastykę upodatnia do swego, wrodzonego tematu muzycznego... Włastimila Hofmana malarstwo, to tak, jak i poezja Bohdana Zaleskiego; tkwi w silnej, nastrojowej poezji, która może nieraz grzeszy malarsko i zda się nie liczyć z pewnemi granicami, które może „polskich Lessingów" oburzają, ale niezaprzeczenie zdobył się na nie wielki artysta-malarz, Hofman i dzięki sile twórcy, ominął błąd korzystniejszem rozwiązaniem malarskiej wizji... Jego obrazy, to wizje, przypominające ekstazy tych twórców (np. praerafaelitów!), u ktorych kontemplacja (u Hofmana, melancholja) była najżywszą podnietą, stwarzając „obrazy-symbole", a właściwie tylko plastyczne wypowiadania się takich Fra Angeliców czy Botticellich... Hofman przebył rok 1919/20 (wrócił do gniazda rodzinnego w sierpniu!) w Paryżu. Sprawozdawcy z wystaw jego obrazów w różnych: „Journal des Arts", „Revue Moderne", czy naszego „La Pologne", określali twórczość Hofmana, jako symbolisty, melancholika i subtelnego wizjonera... Więc i w polskiej duszy mogą być cechy europejskich wielkości! Zdołał przekonać Paryż Hofman, że Polska w sztuce i w latach wojny nie pozostaje na „leżach zimowych", ale maluje równie dobrze, jak i za najstraszniejszych czasów prześladowań z okresu upadku i niewoli, rozwijała się nasza poezja wieszczów...

Malarstwo Hofmana ujawnia w pełni najwyraźniejsze cechy polskiej duszy z wrażliwością słowiańską, z temperamentem chopinowskiej melodji, a z barwą smutnego krajobrazu, który w ostatnich pracach Hofmana coraz silniej urozmaica tła, harmonizując się przewybornie z jego Główkami, Chrystusem, wyrazem modlitwy tęsknoty za słońcem „niebiańskiego" życia, choć to realne takie nieraz drewniane, jak i te figurki przydrożne, które często anioły mgieł otaczają skrzydłami, zaś łzy ludzkich modłów przemieniają w religję-poezję, jak u Greka, tak i u nas, mocą wyobraźni ludu i jego kapłana-artysty!

Ambicje wielkich malarzy włoskich tkwiły w tem, że starali się wszelką, inną sztukę sharmonizować w barwie, Wagner w swym „dramacie przyszłości" — dla polskich artystów zaś pozostała „polska dusza", w której tętni słowiańskość w cechach natury bardzo subtelnej i bardzo skrajnej. Sharmonizowanie obydwóch, oto „nasze wyrazy" dostojnej sztuki Hofmana, sztuki polskiej, która zdaje się wśród słowiańskiej dominuje!

Kraków, — 1921. *(Michał Asanka Japołł).*

# BIBLJOGRAFJA.

Książki nadesłane do Redakcji.

*I. Liberty Tadd.* Nowe drogi wychowania artystycznego. Przełożył E. N. Str. 168. Wyd. Arcta Warszawa 1929.

*Marjusz Zaruski.* Na morzach dalekich. Kartki z pamiętnika marynarza polaka. Str. 160. Wyd. Arcta Warszawa 1920.

*Józef Petrycki.* Roman Dmowski. Str. 82. Wyd. Perzyński, Niklewicz i Sp. Warszawa 1920.

*Tadeusz Dybczyński.* Skarby kopalne ziem polskich. Str. 64. Wyd. Arcta Warszawa.

*Helena Witkowska.* Nauka Obywatelska. Str. 106. Wyd. Arcta Warszawa.

*D-r Justyna Jastrzębska.* Dzieje powszechne. Podręcznik dla seminarjów nauczycielskich z 50 rycinami. Str. 188. Wyd. Arcta Warszawa 1920.

# TREŚĆ ZESZYTU VII-go.

Goj i Juda,—*Ignacy Oksza-Grabowski.*
Fata Morgana. — *Anna Zahorska (Savitri).*
Z cyklu: „Misterja“. — *Walenty Zieliński.*
Sowa (Z cyklu idąca śmierć). — *Henryk Zobór*
Związki strzeleckie. — *Tadeusz Jaworski.*
Camera lucida: 1) Prawodawcy z Tarnowa. — *Igr.* 2) Barometr społeczny. — *Igr.* 3 Marginesy filozoficzne: IV. Majaki czystej myśli. — *L. Konopacki.*
Ze sztuki. W pracowni Włastimila Hofmana.—*Michał Asanka Japołł.*
Bibljografja.
Cztery artystyczne dodatki w tekście: 1) Marzenie (wiosna). — Mal. *Włastimil Hofmann.* 2) Golgota polskiego dziecka. — Mal. *Włastimil Hofmann.* 3) Polski Faun— Mal. *Włastimil Hofmann.* 4) Dziewczynka z lalkami. — Mal. *W. Wojtkiewicz.* (Dodatek w „Gospodzie Poetów“).
Okładka podług rysunku *J. Karczewskiego.*

Do zeszytu dołączony jest Nr. 6 „Gospody Poetów“, jako bezpłatny dodatek. Za redakcję „Gospody Poetów“ odpowiedzialność ponosi wyłącznie jej redaktor Radosław Krajewski).

**Warunki prenumeraty:**

**W stolicy i w kraju: Kwart. Mk. 200. Za gran. i w Ameryce: Kwart. Mk. 340 Dolicza się kwart. w Warsz. za odnosz. Mk. 20, w kraju za przes. pocz. Mk. 40 za granicą i w Ameryce Mk. 60. — Cena oddzielnego zeszytu Mk. 40**
**Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności № 38.**

POLSKI POSTERUNEK WYDAWNICZY „PLACÓWKA“

**Adres Redakcji i Administracji:**
**Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telefon 319-87.**

Redaktor Naczelny wydawnictw Pol. Poster. Wyd. „Placówka“: **Walenty Zieliński.**

**Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY GRABOWSKI, GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.**

№ 4202. 1300. 20.IV.1921. ZAKŁADY GRAFICZNE M. S. WOJSK.